w młodych oczach



CZASOPISMO
MŁODZIEŻY
SZKOLNEJ

Nr 2 (6) WARSZAWA Rok 2

WYD. ORGANIZACJA PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA

Jerzy Antoniewicz

Na marginesie „Balladyny"

„Co za wyuzdana, bezczelna łatwość pięknych wierszy".

(Słowa Krasińskiego do Gaszyńskiego po przeczytaniu „Balladyny" Słowackiego).

Teatr Narodowy: — „Balladyna" Juliusza Słowackiego w inscenizacji i oprawie teatralnej Ferdynanda Ruszczyca. Reż. J. Osterwy.

Tak zwany wielki repertuar nie ma szczęścia w Polsce do krytyków. Niemal wobec każdej ze sztuk tego pokroju, wobec każdej inscenizacji krytycy występują z jakimiś protestami, z uwagi na jakieś własne kryteria: ideowe, formalne, społeczne itp. Przeciętny, Bogu ducha winien teatroman, czytając recenzję zraża się do sztuki, już nie tylko dlatego, że należy ona do t. zw. „cięższych", lecz poprostu dlatego, że została skrytykowana przez tego czy innego potentata „z nazwiska" za pomocą kilku fachowych uwag, niezrozumiałych zresztą dla przeciętnego, spragnionego teatru człowieka. W świecie krytyki teatralnej spotykamy się przy tym z mieszaniną różnych poglądów i założeń, z czego wynikają nieporozumienia nieraz bardzo frapujące. Zarówno zasada kierowania się względami ubocznymi, jak i nieznośny autodogmatyzm, apodyktyczność w ferowaniu różnych wyroków doprowadzają do diametrialnie sprzecznych sądów w odniesieniu do tego samego zjawiska, z czego wynika ogólna dezorientacja czytelników, którzy nie wiedzą komu wierzyć. Prowadzona na łamach „Pionu" i innych pism od pewnego czasu ciekawa dyskusja (Brumer - Natanson - Charkiewicz - Leśnodorski) dochodzi m. in. do wniosku, że recenzenta teatralnego obowiązuje przede wszystkim jasność i konsekwencja w metodzie krytyczno-analitycznej, oraz wyraźne określenie punktu widzenia, jaki dany krytyk zajmuje. Poza tym stwierdza, jak właściwie należy recenzję pisać dla fachowych periodyków, a jak „dla wszystkich". Recenzja pisana dla wszystkich musi być lekka — popularna, jasna, bez szafowania wiedzą techniczną, trudną terminologią, nadmierną drobiazgowością analizy. Mimo to recenzent musi się starać, by ocena nie była powierzchowna, płytka i ujmująca rzecz pod kątem taniego utylitaryzmu społecznego. Rola więc recenzenta jest w tym wypadku bardzo trudna, bardzo odpowiedzialna.

Powyższa prawda odnosi się do całego repertuaru, który się wystawia od lat w Polsce. A potem powtarza się u nas, jak za panią matką to wszystko, co kiedyś jakiś tam znany recenzent, bardziej lub mniej trafnie skrytykował. Ba, mało tego, — powtarza on ciągle tę opinię swoim znajomym, kolegom itd. Wytwarza się w ten sposób o danej sztuce opinia nad wyraz krzywdząca. Dzisiaj po raz setny mamy przykład na „Balladynie". Utwór ten nie jest łatwy dla inscenizacji. Odtworzenie trzech światów, zrodzonych w wyobraźni poety: fantastycznego, ludowego i rycerskiego, tło pejzażowe, wnętrza chaty i zamku, stroje i zbroje — wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów trzeba zespolić tak, aby dać najbardziej plastyczny i możliwie realistyczny wyraz tęczowym i chmurnym wizjom Słowackiego, z zachowaniem zarówno ariostycznego jak i szekspirowskiego stylu „Balladyny".

Ongiś, przed laty, gdy ta sama „Balladyna" w Teatrze Polskim była wystawiana w tej samej oprawie teatralnej i inscenizacji, wzbudziła entuzjazm krytyki i publiczności. Dziś posypały się głosy krytyki — a nawet zarzuty. Czyżby może gorsza była obsada w rolach głównych? Tam kreowała rolę tytułową Wysocka, tutaj Eichlerówna, tam Aliną była Przybyłko-Potocka, tutaj Lubieńska. Józef Węgrzyn tu i tam grał rolę Kostryna — tylko wtenczas jako „istny ryś przy krwawej tygrysicy" — Balladynie, tu „niby od niechcenia". Jedyny Jerzy Leszczyński — Grabiec miał szczęście u recenzentów. „Był wyborny zarówno tu jak i przed laty w rubasznej, jędrnej jowialności zabawnego chłopa".

Zapragnęliśmy jeszcze na jedną chwilę ożywić odległe wspomnienia sztuki teatralnej Słowackiego, raz jeszcze zobaczyć wizję poety ujętą w taki kształt w jakim go ujrzał Ruszczyc — zanim już ostatecznie przejdzie do historii teatrów w opisie już tylko i reprodukcji poszukującej słabego odblasku dzieła, które niegdyś żyło „pełnią barw w tysiącach zachwyconych oczu" mówił na uroczystej premierze Wł. Zawistowski przed podniesieniem kurtyny.

Istotnie obecna wystawa była ostatnim hołdem dla tego Człowieka. J. Osterwa powtarzał tylko Ruszczyca, starał się być najwierniejszy jego zamierzeniom. W wywiadzie prasowym oświadczył jednak, że ma własną koncepcję a tu stara się tylko wykonać i uszanować cudze myśli. Wszystkie więc niedomagania inscenizacji przemilczamy, natomiast nie możemy przemilczeć usterek reżyserskich nie całkiem trafnej obsady, zwłaszcza różnych Chochlików i Skierek, które to postaci wypadły... wcale nie powiewnie, jak tego chciał Słowacki.

Oczekujemy koncepcji samego Osterwy.

w młodych oczach

czasopismo młodzieży szkolnej

Wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży
S T R A Ż P R Z E D N I A

Nr. 2 (6) Warszawa, 1 lutego 1938 r. Rok 2.

Przebudowa czy protest

Idealizm jest pojęciem, które najżywiej, najlepiej, najczęściej wiąże się z młodością. Kto chce młodzieży uczynić zarzut bolesny, wystarczy, by stwierdził tylko, że nie widać w niej wiary w ideały, te ideały, które „za jego czasów" młodzież etc. etc. Kto nie miał w swej młodości okresu „burzy i naporu" idej, ten idzie w życie ubogi duchem. Idealizm jest bogactwem młodości, jest szlachetną treścią dla umysłu, uczuć i woli. Nie chcemy tu przemawiać jak ludzie starzy, pewni swych wielokrotnie słyszanych i wygłaszanych... truizmów. Dobrze jest sobie samemu zawczasu stwierdzić, co warta jest przeżywana młodość, gdy barwy życia biorą się nie z codziennych przeżyć, z środowiska, z wegetacji, z „prozy" życia, lecz ze spraw niecodziennych, niepospolitych, tchnących prawdziwą poezją, ze zdobywanych i wyznawanych — i d e j. Dobrze jest cenić w sobie i innych elementy idealizmu i każdą sprawę, która z niego jest: entuzjazm, zapał, pragnienie „czynu", wiarę życiową, radość. Trzeba w sobie szukać tych wartości i sprawdzać je, by móc o sobie mniemać, że jest się n a p r a w d ę idealistą.

Bo... jakże łatwo to pochlebne mniemanie o sobie wyniknąć może z tego, że mianem idealizmu określa się pewien stan zamętu duchowego, właściwy wielu jednostkom w okresie dorastania. Z zamętu tego może wprawdzie wyjść „świat ducha" , ale zamęt w głowie i w sercu żadną miarą nie może być uważany za wartość natury duchowej. Wartością jest natomiast robić w tym własnym zamęcie samemu, świadomie i celowo — porządek.

W świecie współczesnym, w kulturze, w środowisku życiowym wszystko sprzysięgło się dziś jak gdyby poto, by robić młodym w głowach zamęt. Dość gruntownie zamącony jest w nich obraz rzeczywistości polskiej, łatwo mąci się również w głowie przy szukaniu wartości zbiorowych, celu dla życia i pracy zbiorowej czy osobistej. Czasy dzisiejsze są dla idealizmu młodzieży okresem niepomyślnym. Dlatego może słyszy się wśród starszych głosy powątpiewania, czy idealizm ów rzeczywiście istnieje. A jednak znaczna część młodzieży nie pozostaje obojętną wobec idej współczesności. Młodzież często nawet już w szkołach średnich trapią różne zmartwienia „ideologiczne", ba, nawet polityczne, i to niemal w tym stopniu co i starszych, a może nawet i większym. Ostatnie debaty sejmowe i głosy prasy wskazują na to, że starsi nie tylko nie cieszą się z tego stanu rzeczy, ale zdecydowanie go potępiają. Potępiają młodzież za b r a k idealizmu i za n a d m i a r „ideologizmu". Jest snać w tych pojęciach coś, co je sobie wzajem przeciwstawia, a w każdym razie coś, co każe czynić różnicę między idealizmem młodzieży a sztubacką politykomanią.

Zdaniem naszym jest to w świecie młodości antynomia stara, jak świat — przeciwstawienie i d e a l i z m u i m a r z y c i e l s t w a. Obie te postawy wynikają wprawdzie z k r y t y k i r z e c z y w i s t o ś c i. Wiele jednak wskazuje na to, że prawdziwy idealizm daje s i ł ę do jej p r z e o b r a ż a n i a, marzycielstwo zaś jest tylko tej rzeczywistości n e g a c j ą — i niczym więcej. Cechą idealizmu jest działanie, jeśli ma być ono szybkie i skuteczne — rewolucjonizm. Z marzycielstwa zaś wynika tylko doktrynerstwo i b e z c z y n n o ś ć. Bezczynność ta od czasu do czasu urozmaicana jest wybuchami p r o t e s t u. Protest zaś wyrażać się może nawet czyn-

nie w... demonstracjach, w biciu szyb i wrogów ale nie jest zdolny przekształcić nawet atomu rzeczywistości na miarę własnych fantazji. Tę zdolność posiada tylko — p r a c a. Tylko praca o napięciu i metodach rewolucyjnych daje możność szybkiej p r z e b u d o w y rzeczywistości.

Być rewolucjonistą znaczy mieć wolę zwycięstwa i poczucie przewagi nad rzeczywistością. Przed młodzieżą, przed dojrzewającym światkiem uczniowskim są też zadania a nawet obowiązek przeobrażania rzeczywistości. Tej rzeczywistości, która istnieje w promieniu szkoły i środowiska społecznego. Myśl o udziale w rzeczywistości innej, w pracy publicznej i walce politycznej starszych jest właśnie marzycielstwem, absurdem, nie daje bowiem żadnych możliwości pracy i żadnych korzyści ani państwu, ani młodzieży. A tymczasem życie szkoły i organizacji młodzieży woła, domaga się zgoła rewolucyjnej pracy. Cóż zmieniło się w nim w ciągu 20 lat niepodległości za sprawą s a m e j młodzieży? Gdzież jest ów wyścig pracy naukowej, samowychowawczej i społecznej, jaką młodzież musi podjąć się na własnym odcinku, by przysposobić go do p r z y s z ł e j roli w Polsce? Ta przyszłość jest najbardziej „rzeczywistą rzeczywistością" młodzieży. Wobec tej przyszłości trzeba być idealistą i zawczasu rewolucjonizować treść i formy własnego życia. Być rewolucjonistą w szkole i w organizacji, znaczy mieć odwagę przeciwstawić się biernemu ogółowi pracą nową w idei, treści i formie. Nie będziemy tu omawiać programów tej pracy. Istnieją one oddawna w życiu szkolnym, w P. W., w samorządach, Straży Przedniej czy Harcerstwie, spółdzielniach, koła L.O.P.P., L.M. i K. itp. Istnieją zresztą tam wszędzie, gdzie z papierowych formułowań przeistaczają się w żywą wiarę i usilną realizację. Mus tej p r a c y r e a l i z a c y j n e j jest właśnie najtrudniejszym szkopułem dla części młodzieży. Jest to bowiem droga t r u d n a, odstraszająca marzycieli, nęcąca tylko prawdziwych idealistów.

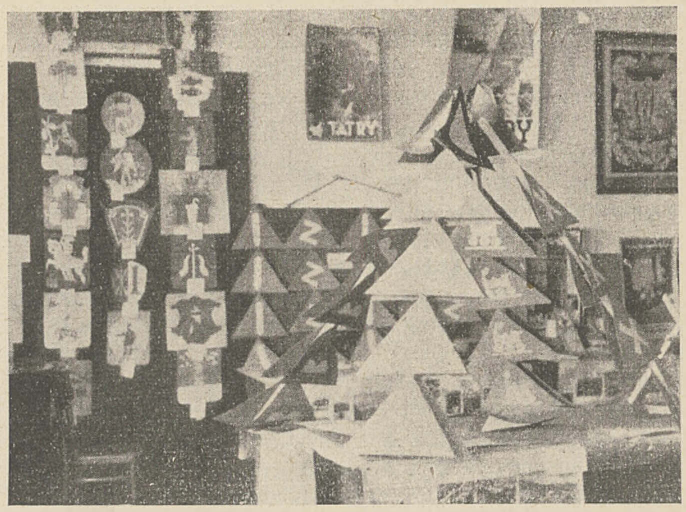
Droga jedynie r e a l n a.

Idealizm nie jest bowiem przeciwstawieniem realizmu. Przeciwnie, wiąże się z nim blisko, jest jego s e n s e m. I d e a nadaje sens r z e c z y i w niej się ucieleśnia. I tylko taka idea jest coś warta. Zatem i odwrotnie musimy przyjąć, że tylko realizm w człowieku nadaje wartość jego ideom. Idealizm celów — realizm środków. Nie stracimy z oczu rysów Wielkiej Potsaci — romantyka celów, pozytywisty środków, największego rewolucjonisty naszych dziejów...

Idealizm, któremu nie towarzyszy ochota realizacji, co więcej, który nie ma sensu w robocie, nie ma sensu sam w sobie. Jest tylko pustym wierutnym... marzycielstwem.

Z kursu strażowego w Lublinie





Pomoce szkolne, wykonane przez strażowców: herby miast, znaki drogowe, gry, figury i ilustracje.

Cóż warta jest idea, która trzyma się tylko naszego mózgu, nie krąży w nas jak krew i boi się zginąć od zetknięcia z nieco odmiennym światem...

Maria Dąbrowska „Noce i dnie".

polityka w młodych oczach

Antoni Czukowski

„TRADYCYJNA PRZYJAŹŃ"—DAWNIEJ I DZIŚ

III.

W pierwszej części tego artykułu (p. nr. 2—3 „W Młodych Oczach") przedstawiliśmy zarys stosunków polsko - francuskich — dawniej, t. zn. w pierwszym okresie naszego niepodległego bytu. Widzieliśmy, że ówczesna rzeczywistość tego sojuszu nie ograniczała się do uległości Warszawy wobec dyspozycji Paryża. We Francji nie tylko traktowano Polskę jak wasala, ale i wątpiono, czy taki stosunek „sprzymierzeńczy" jest dla Francji korzystny. Nie tylko bez skrupułów poświęcano nasze interesy (Locarno!), ale obawiano się jeszcze, że sojusz z Polską, stojąc na przeszkodzie porozumienia z Niemcami, może tylko niepotrzebnie wciągnąć Francję w wojnę w obronie np. Pomorza, którego słabiutka — jak sądzono — Polska nigdy nie będzie w stanie obronić i przy którym nie wiadomo po co z takim uporem obstaje... Na tle powszechnej niewiary w siły odrodzonego Państwa Polskiego i Jego wartości wojskowych jako sojusznika Francji na wypadek wojny — nierzadko odzywały się głosy, idące na rękę propagandzie niemieckiej, atakujące nawet „pretensje" Polski do Pomorza i żądające wręcz zerwania sojuszu...

Tak było stosunkowo niedawno: lat temu kilkanaście, a nawet i bliżej.

Potem przyszły przełomowe posunięcia polskie— i paroksyzm wściekłości prasy francuskiej. Było to przesilenie. Silna gorączka (z „bredzeniem"), po której następuje przełamanie choroby. Chorobą tą był nienormalny układ stosunków polsko - francuskich.

Jakże inaczej jest obecnie!

Zastrzec się trzeba odrazu, że i dziś jest parę pism francuskich, będących wyraźnym — i oczywiście nie „gratisowym" — narzędziem wrogiej nam propagandy, tym razem sowieckiej. W porównaniu jednak z okresem poprzednim jest ta jaskrawa różnica, że wypisując o Polsce różne zalecane i zapłacone przez Moskwę brednie, — organy te są w opinii francuskiej zupełnie odosobnione, nie znajdują w niej oddźwięku, przeciwnie raz po raz spotykają się z wyraźnym i ostrym potępieniem. Jak zaś ustosunkowuje się do Polski i problem sojuszu z Nią ogół społeczeństwa francuskiego — to zobrazowały nam cytowane poprzednio głosy.

Czyż nie kolosalna to zmiana? Czy poglądy francuskie na wartość sojuszu z Polską oraz istotę tego stosunku nie uległy zasadniczemu przekształceniu? Tak samo zresztą, jak na problem winy przejściowego ochłodzenia stosunków między Paryżem i Warszawą?

Przekształcenie to nastąpić moglo tylko w wyniku silnego wstrząsu. Wstrząs taki wywołało nowe, zupełnie w Paryżu niespodziewane posunięcie Polski. Po wstępnym okresie oburzenia poczęto analizować a w konsekwencji rozumieć przyczyny takiej, a nie innej polityki polskiej, pojmując jednocześnie własne, francuskie błędy.

Wzrastał też szacunek wobec korzystnych efektów polityki polskiej, biorącej oczywiście pod uwagę przede wszystkim interes Polski, nie zwróconej jednak nigdy przeciw istotnym interesom sojuszniczej Francji. Kolejne posunięcia polskie wzmacniały to przekonanie, wywołując jednocześnie uznanie dla swej stanowczości i chęć współpracy z polskim mocarstwem, jako pierwszym i jedynie wartościowym sojusznikiem Francji na wschodzie, sojusznikiem, którego walory nie mogą być zastąpione przez pakt wzajemnej pomocy z Rosją Sowiecką.

Momentem przełomowym na drodze do nowego ułożenia stosunków polsko - francuskich stał się dzień 7 marca 1936 r. W chwili gdy wojska niemieckie zajmowały Nadrenię, Polska natychmiast zadeklarowała, że gotowa jest wypełnić swe zobowiązania sojusznicze w razie, gdyby Francja uznała za konieczne wyciągnąć z aktu niemieckiego najdalej idące konsekwencje.

Ta gotowość Polski ostatecznie przekonała Francję. W szybkim też czasie poczęła się coraz silniej

manifestować wzajemna serdeczność, osiągając szczególne nasilenie w okresie pamiętnej wymiany wizyt naczelnych wodzów oraz ministrów spraw zagranicznych obu państw.

Niedawna wizyta min. Delbosa w Polsce stala się dalszym krokiem na drodze i rozwoju naszej współpracy, krokiem tym charakterystyczniejszym, że przedłużenie trasy podróży do Moskwy, wbrew życzeniom sowieckim, nie zostało przewidziane...

To ożywienie sojuszu polsko - francuskiego już na płaszczyźnie całkowitej równości i wzajemnej solidarności dobrze zrozumianych interesów obu państw było konsekwentnym etapem rozwoju łączących nas stosunków i wypływało logicznie z całokształtu genialnej polityki Wielkiego Marszałka. Jakże wymownie brzmią słowa Naczelnego Wodza, ówczesnego generała Śmigłego - Rydza, wypowiedziane w trakcie wizyty we Francji w 1936 r.: „Po odrodzeniu Polski więzy przyjaźni i sojuszu z Francją wznowił i umocnił największy Wódz Narodu Polskiego, Marszałek Józef Piłsudski. Szczęśliwy jestem, że mogę być tutaj jako kontynuator Jego idei".

Przejście opinii francuskiej na nasze podwórko i wzmocnienie przymierza z Francją na nowej płaszczyźnie — to jakby jedno jeszcze, z za grobu już odniesione przez Marszałka zwycięstwo.

* * *

Jak więc widzimy, nie ma mowy o zerwaniu, a tym bardziej o „zdradzie" sojuszu z Francją, chodziło tylko o zmianę wzajemnego stosunku zgodnie z duchem czasu, o dostosowanie go do mocarstwowych potrzeb dążności Rzeczypospolitej.

Bo — jak pisaliśmy — obustronną wartość sojuszu z Francją rozumie każdy Polak. W niniejszym artykule — naświetliliśmy to zagadnienie niejako z odwrotnej, mało znanej strony. w przekonaniu, że znajomość całej prawdy jest zawsze pożyteczniejszą. Nie chodzi nam jednak wcale o wytwarzanie zgrzytów. Przeciwnie, podkreślić chcemy, że o ile ustosunkowanie się Francji do Polski wywołało w naszej opinii publicznej uczucie oburzenia i rozgoryczenia — to może nawet nie zawsze było to słuszne. Pamiętajmy, że w polityce sentymenty stoją na drugim planie, decydują zaś realne interesy i konkretny rachunek sił.

Jeśli chcieliśmy, by ze stosunków polsko - francuskich znikła atmosfera uległości, by Polska przestała być lekceważonym wasalem, który w dodatku niezbyt jest pewien opieki i pomocy swego „suwerena" — to nie mogliśmy iść drogą żalów, wyrzutów i próśb, jakby to sobie może wyobrażali nasi przysięgli frankofile. Musieliśmy nauczyć Francję szacunku dla naszych sił i możliwości, musieliśmy ją przekonać, że Polskę stać na prowadzenie samodzielnej polityki, że wobec tego sojusz z nią stanowi realny interes — lecz możliwy jest jedynie na płaszczyźnie zupełnej równości. A to nie mogło się odbyć bez wstrząsów i chwilowych nieporozumień.

Zresztą o ile chodzi o sentyment — trzeba wyraźnie stwierdzić, że we wzajemnych stosunkach narodów polskiego i francuskiego tkwi on naprawdę, szczerze i głęboko, stanowiąc cenny fundament polityki prowadzonej przez rządy. Dla tych rządów jednak interes i siła będą zawsze decydowały.

Nie miejmy więc specjalnego żalu do Francuzów za niemiłą przeszłość. Możemy mieć żal do siebie za to, że byliśmy słabi — więc i jak słabych nas traktowano. Dziś jest inaczej. Pamiętajmy za to zawsze o zasłudze Marszałka, który, operując geniuszem i stworzoną przez się siłą, właśnie to „inaczej" nam wywalczył.

Wydaje się to paradoksem, lecz tak jest w istocie, że sojuszowi z Francją najbardziej szkodzą... nasi „bezgraniczni" frankofile. Ludzie, na których psychice niewola wycisnęła swe złowieszcze piętno, dotknięci kompleksem małości — całą naszą politykę zagraniczną sprowadzają do kwestii możliwie najsilniejszego trzymania się francuskiego fartuszka. Puszczenie go choćby jednym palcem uważali zawsze niemal za zbrodnię i podnosili gwałt, który zagranicą chętne znajdywał echo... Starczymi umysłami nie są już w stanie ocenić różnicy między pozycją Polski dziś i kilkanaście lat temu. Hasła takie, jak „równość" i „niezależność" w przeciwieństwie do młodego pokolenia pozostaną dla nich nazawsze pustym dźwiękiem lub co gorsza — „chytrym manewrem".

Ci ludzie nigdy zapewne nie wybaczą polityce Wielkiego Marszałka, że na pierwszym miejscu postawiła nie — błędnie zresztą pojęty interes Francji — lecz Polski!... I nigdy też nie zrozumieją tego, co dla nas, młodych, jest oczywiste, że — ceniąc i rozwijając przyjaźnie i sojusze, — przede wszystkim we własnej polskiej sile, w jej należytej rozbudowie widzieć musimy niezbędną podstawę naszej polityki zagranicznej, jak i wogóle jedynie pewną rękojmię mocarstwowego rozwoju Polski!

Antoni Czukowski.

Ostatni czas uregulowania prenumeraty za rok szk. 1937/1938 !



Witold Degler

ROZMOWA.

Nie wiadomo jak to wyrazić — nie wiadomo jak to rozpocząć:
Wszystkie słowa zbyt trudne dla ust w panice biegną do oczu
I stamtąd patrzą i mówią, choć głosu ich nie usłyszysz —
i jest rozmowa milczenia i wielki bolesny krzyk ciszy!
A potem spuszczasz powieki i już się kończy rozmowa:
Na samo dno serca łzy kapią — cięższe niż słowa.

Witold Degler

APOSTROFA DO SAMEGO SIEBIE.

Lękam się bardzo o ciebie, czuły wyznawco kwiatów,
Że kiedyś zetkniesz się z ziemią, najrzeczywistszą ze światów.
Dziś w labiryntach gwiaździstych odkrywasz ścieżki kręte,
Księżycem płyniesz po niebie — dalekim, srebrnym okrętem.
A wicher groźny, szumnie niebieski, oddech kosmosu,
Dmie wściekle dniem i nocą w żagle twojego losu.
Ale ty śpiewasz gwiazdom i śpiew twój jest jak kotwica,
Jakby na maszcie się wsparłeś na srebrnej smudze księżyca.
O, taki jesteś spokojny, tak ufasz niebieskiej głębinie,
Pewny, że wszędzie — gdzie tylko zechcesz — o żaglu dopłyniesz.
Sam jeden, bez załogi, nieustraszony marynarz,
W dłoniach słabych lecz pewnych ogromny ster życia trzymasz.
Lecz ja się lękam o ciebie, nie wierzę takim okrętom—
Wichry ci maszty obalą, na pastwę cię rzucą odmętom!
A wtedy, wypluty przez wszechświat paradoksalny Jonasz,
Tonąc, na dnie się zbudzisz — i tu na ziemi skonasz.

Marian Wyczółkowski (Piotrków Tryb.)

WIERSZ PISANY O WSCHODZIE.

Opadły gwiazdy do nieba przyszyte
I wszystkie niby szklane szyszki wiszą
Na drzewach dziwnie obrosłych przedświtem
I wysypanych świętojańską ciszą.

Coś śni się jeszcze majaczącym sosnom,
A strach zasłonił oczy okolicą;
Krzewy paproci fantastycznie rosną
Gorejąc srebrnych kwiatów tajemnicą.

Poszum zagina iglaste wachlarze,
Gałęzie kładzie, jak palce na lutnię
I w dziwostrunnym, piosennym rozgwarze
Liczy godziny mijające smutnie.

Sny leśne pierzchną i staje się szerzej
Wiatry ściągnęły mrok za burą grzywę;
W odczarowanej świtem atmosferze
Pachnie żywicą i mokrym igliwem.

Przestały płonąć zielone paprocie.
Bo dzień zaczyna już patrzeć na oczy
Chwile się gubią w porannej tęsknocie,
Która się w łaskę słońca przeistoczy.

Oto wschód boski, zasępionych cieni
Pogromca, ręce opuszcza na wrzosy,
A bursztynowym grzebieniem promieni
Wilgotne drzewa wyczesuje z rosy.

Witold Degler

POŁÓW.

Z najgłębszych tajni bytu, z przepastnych nocy mroków,
Z oceanu tajemnic, labiryntu snów —
Chciwy łowca twych cieni, tropiciel twych kroków
Złowiłem cię nareszcie w srebrzystą sieć słów.

I moją teraz jesteś — smutna, księżycowa,
Piękna i drżąca w srebrzystym potrzasku,
Zdradzona przez fale, schwytana przez słowa,
Leżysz teraz bezwładna na złocistym piasku.

Nowela „Młodych Oczu"

Mieczysław Polak (Zakopane)

CHŁOPIEC JO SE GIBKI...

Szafirowy zmierzch nasączył śnieg granatem cieni, gdy Marek siadłszy w górskie sanki przejeżdżał zablokowane pstrym tłumem Krupówki.

Z rytmicznym brzękiem potrząsanych przez wartkiego konika janczarów sączyła mu się w duszę radość. Musowało w nim potężne ukochanie gór, przemożne pragnienie pędu rozsadzało mu mięśnie.

— Chyba zacznę wyć!—pomyślał desperacko. Jakoż za miastem krzyknął z pełnej mroźnego powietrza piersi:

Chłopiec jo se gibki,
nie bojem sie bitki,
choćby mi stargali
kosulke do nitki!
Ech! —

Zakończył dziko, aż echo obleciało skowytem ośnieżone regle.

Z deskami na ramieniu zagłębił się w prześwietlone witrażowo rojowisko smreków. Kalatówki: — labirynt mrocznych holwegów...

— Goryczkowa: — Uff! — Ciepło.

Przy schronisku przypiął narty i podszedł na sztywnych fokach kilka kroków.

— Kaz-to idziecie panie? — zagadnął go krępy góral czerniejący w jasnej smudze uchylonych drzwi.

— Na Gąsienicową przez Kasprowy!

— Po nocy się tak styrmać będziecie? Napijcie się choć mlika!...

Marek wypił dwie szklanki czując jak cierpko kwaśny napój sączy mu w ciało rzeźkość.

— Dużo tu dziś narciarzy było? — spytał, mając na myśli trudności nieprzetartego podchodu.

— Nie duzo panie — nie. Kurniawa przeszła od rana. Śniegu nasuło okrutnie. Poźryjcie ano jak po wierchach wieje.

Granią Kasprowego sunęły blade obłoki podnoszonego wichrem śniegu. Marek napiął oczekujące podchodu nogi i wparł nie syte spojrzenie w osypane zbocza. Zachodziły na siebie spiętrzone, pogarbione a spokojne i dostojne w swym białym ogromie. Ciąć tę biel stopniowym dwutorem szusów — orać w zygzak rączym rozkołysanym wolfgangiem!

— No, idę. Ostańcie gazdo z Bogiem!

— Z Panem Jezusem!

Foki trzymały znakomicie. Marek podchodził wolno a miarowo, przenosząc ciężar ciała to na lewy to na prawy podpór giętkiego tonkinu. Strome zakosy jego podchodów nasiąkały granatowymi liniami cieni.

Przestrzeń zastygła mroźnie pod sierpem jasnego księżyca. Marek podniósł głowę ku niepełnej tarczy kapryśnego satelity. Ileż metafor wsiąknęło w to blado-złotą, obojętną masą, w to nieodłączne akcesorium wszelkich kierunków starej i współczesnej poezji. Na poetyckiej licytacji metafor wychodził najgorzej on — „nocna lampa światów", „krzykliwy gong nocy", „nagi pielgrzym" — ba — nawet „srebrna maca", „kapryśny luna", „metronom spiętrzeń i rozkurczów rozległych oceanów", „conocny przewodnik sommambulicznych wędrówek".

Nagle — wśród tych księżycowych rozważań usłyszał coś, co można by wziąć za głos ludzki. Wydłużony cień podniesionego kija utknął w połowie paraboli. Marek wytężył słuch... Kie licho!... Zwid?... Nie, jednak głos! — Niewyraźny, skargliwy ale ludzki.

— Hej, idę! — wykrzyknął sadząc pośpiesznymi susami ku źródłu lękliwego nawoływania. Minął płytki holweg — szlak codziennych podchodów dziesiątek narciarzy i szedł naukos, trawersując stromy garb.

Z głębokim pochyleniem tułowia w dół zapuścił wzrok w zagłębienie spiętrzonej zaspy. Między kitami zawianych po wierzchy kosówek czernił się jakiś nieforemny kształt. Podszedł bliżej... Głowa i dwoje zaśnieżonych, półuciętych płaszczyzną śniegu ramion.

— No, rzucił pytająco —

— No... ugrzęzłam, jak pan widzi...

Marek zdumiał się — to była kobieta!!!

— To po co łazić po niechwiejach, bokami ludzkich szlaków, a... przede wszystkim — trzeba umieć jeździć! — rzucił z wyrzutem. Dalsze słowa zanikły w energicznym trzasku odpinanych więżb. Z równolegle złożonych nart i kijów zrobił prowizoryczną płaszczyznę. Zapadłszy natychmiast po pas w sypki puch, pomógł nieznajomej wgramolić się na zaimprowizowane krzesło. Chwilę patrzyli na siebie. Ona skulona, z wysoka — on z irytacją, miotając się w śniegu i mroku.

— Kie licho panią tu zaniosło?! Niech sobie pani wyobrazi, że odłożyłem swój nocny marsz o jeden dzień! Co by było?... Uświerkłaby tu pani jak głodny wróbel na mrozie!

Ciemny kształt jej sylwetki czerniał nad nim nieporuszenie.

— Gdzie pani narty? Chyba nie przyszła tu pani na piechotę?

— Jedna jest — tam! — odpowiedziała cicho — a druga... — głos jej zadrżał — ...druga poszła...

— Jak to poszła?...

— No zjechała tam.. w dół...

Teraz dopiero zrozumiał i przenosząc spojrzenie, to na skuloną postać, to na podłużną bruzdę przerytego śniegu, zaniósł się serdecznym śmiechem.

— Ha! Ha! Ha! — dzwoniło w zdziwionej ciszy — narta... poszła... ha! ha! ha!

W nienaturalnym pochyleniu jej ciała spostrzegł zdziwienie i przestrach. Śmiał się jednak dalej, dając upust fali wesołości. Niespodziewanie zawtórowała mu miłym sopranem — brzmiał ten zgodny dwugłos, rwąc na strzępy ciszę ośnieżonych uboczy.

— No — rzekł wreszcie przez śmiech — zacznijmy akcję ratunkową.

— Pan jest niegrzeczny! Zamiast pocieszyć mnie i wydobyć z tej przepaści, śmieje się pan...

W jej dźwięcznym głosie wyczuł nutę bezradnej ufności. —

— Humor krzepi — pouczył ją mentorskim tonem — ...a zresztą czy to nie wesołe? Niech pani sama osądzi?...

— Nic tu śmiesznego nie widzę! Zmarzlam. Br!...

W chwilę potem siedziała na dnie zacisznej studni, którą pracowicie wykopał, otulona jego zapasowym pulowerem.

— Może papierosa? — zaproponował — a tu są cukierki — proszę!

— Dziękuję — cukierka chętnie wezmę...

— Niech pani tu czasem nie usiłuje zmarznąć — ja ruszam w pościg za uciekinierem! Znajdę zapewne ślad pani samodzielnej narty!

Jakoś znalazł i przekreślając płynnymi zakosami prostą, słabo widoczną bruzdę, gnał w dół.

— Jest!

Leżała rzucona w poprzek szlaku swej ucieczki, wytrącona widocznie przez jakiś zasypany kamień z kierunku jazdy. Aportował ją pracowicie, zadając sobie pytanie, co by było, gdyby tej narty nie znalazł. O przebrnięciu do schroniska na Goryczkowej nie było mowy. Zniósłbym ją chyba na rękach — pomyślał. Nie przeklinał już w duchu nieudanej eskapady, mimo, że wspaniały zjazd na Gąsienicową wziął w łeb. Trzeba było odprowadzić dziewczynę na Goryczkową i zanocować w którymś z niewygodnych schronisk.

— Znalazł pan? — wołała już z daleka.

— Owszem, ale...

— Co ale?...

— Ale... strzaskaną!

Milczenie.

Dotarł wreszcie do brzegu studni.

— E!... Kłamczuch z pana!

W dwadzieścia minut potem pukali w okno jednego z szałasów. Popijając gorącą herbatę gwarzyli przez prosty, drewniany stół. Dowiedział się zaledwie, że na imię jej Hanka i że mieszka w Warszawie.

— Czy pani sądzi, że gdy się uwezmę, to nie dowiem się jej nazwiska?...

Roześmiała się.

— Naprawdę panu tak na tym zależy?

— Pocóż panią odratowałem — rzekł z udanym wyrzutem. Nie czuje pani ani krzty wdzięczności!

— Zarzut ciężki. Porozmawiamy o tym jeszcze jutro... Będzie z pewnością pogodnie, prawda?

Wstała z uśmiechem.

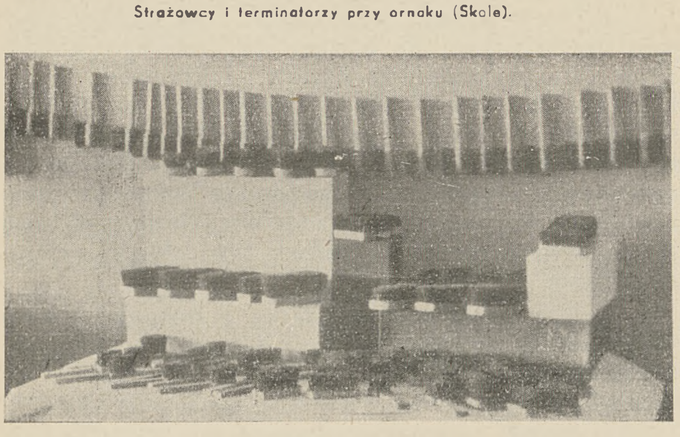
— Dobranoc!

Wymownym uściskiem ciepłej dłoni podziękowała mu za... życie.

Mieczysław Polak.



Strażowcy i terminatorzy przy ornaku (Skole).



Szczotki wykonane przez strażowców w Lublinie.



Ferdynand Ruszczyc: Harfiarz (do art. na 3-ej str. okładki)

Nagroda Młodych P.A.L. 1938!

ROZMOWA Z PIĘTAKIEM

Nagroda Literacka Młodych Polskiej Akademii Literatury ustalona w roku 1932 przyznawana bywa corocznie za całokształt pracy literackiej lub za wybitne dzieło temu autorowi, który nie ukończył do dnia przyznania nagrody lat 30. Laureatami jej byli kolejno: Michał Choromański, Jalu Kurek, Światopełk Karpiński, Józef Łobodowski i w roku bieżącym Stanisław Piętak.

Zamiast tradycyjnej notatki biograficzno-krytycznej, obok recenzji nagrodzonej książki zamieszczamy wywiad, jaki po dwutygodniowych trudach poszukiwania laureata udało się uzyskać przedstawicielowi „W Młodych Oczach" z autorem nagrodzonej „Młodości Jasia Kunefała".

..Pokój umeblowany w spółdzielczym domu tramwajarzy na Zoliborzu. Dojazd tramwajem Nr. 17.

...Autor — młodzieniec lat około 26. Wysoki brunet. Niecodzienna, inteligentna twarz—miły uśmiech. Połyskliwe ciemne oczy.

* * *

— Jakie zainteresowania przejawiał Pan w szkole i jaki typ ucznia Pan reprezentował?

— Byłem „humanistą": interesowałem się literaturą polską i obcą. Uczniem byłem raczej przeciętnym — nigdy nie należałem do t. zw. kujonów.

— Do gimnazjum uczęszczał Pan prawdopodobnie w Sandomierzu? Nazwa „Wisłobrzeg" w powieści jest dość przejrzysta...

— Tak. W Sandomierzu do państwowego gimnazjum koedukacyjnego...

— Jakie zamiary na przyszłość miał pan w 15-ym i 16-ym roku życia?

— W piętnastym wojskowe. Chciałem zostać oficerem zawodowym. Potem literackie. W roku 1930 debiutowałem w Dodatku Literacko-Naukowym IKC. nowelą „Ostatni pokos". W roku 1931 drukowałem w Tygodniku Illustrowanym również nowelę p. t. „Sumienie" — to były me pierwsze prace.

— Czy w „Młodości Jasia Kunefała" nierówność akcji, jej wieloplanowość i asymetria artystyczna poszczególnych wątków była celowa?

— Tak. Jest to może niezrozumiałe tylko dzięki temu, że w ostatniej chwili zmieniłem tytuł książki... i zrobiłem źle. Tytuł pierwszej redakcji, bez pamiętnikowego zakończenia brzmiał: „Kunefałowie z Białej Wsi" i tłumaczył wieloplanowość akcji. Historia Jasia nie wybijała się wtedy na plan pierwszy, biegła równolegle do innych, odgrywała taką samą rolę jak historia Adama i Jędrzeja.

— Pisał Pan książkę o człowieku uczęszczającym do szkoły. Dlaczego Pan ominął całkowicie życie szkoły?

— Uczyniłem to celowo. W ostatnich latach na te tematy pisało się tak wiele, że ujęcie tej kwestii na marginesie spraw rodziny Kunefałów, które są osią utworu, nic nowego by nie wniosło. Powieść jest przecież środowiskowa, rodzinna a nie społeczna czy wychowawcza...

— Następne pytanie mało ma związku z powieścią — dla nas jednak jest arcyważne: Czy Pan uważa, że szkoła winna reprezentować pewien typ wychowawczy, czy ma być sklepikiem do sprzedaży wiedzy?



— Na to pytanie odpowiedzieć mi trudno, gdyż sam uczęszczałem do bardzo specyficznego gimnazjum o dużym procencie Żydów i Ukraińców. W takich szkołach mimo pozornego nacisku na wychowanie obywatelskie, o prawdziwe wychowanie tego typu jest bardzo trudno. Szkoła staje się cyklem zazębiających się o siebie trudności. W moim rozumieniu szkoła winna być przede wszystkim instytucją wychowawczą: tworzyć zdrowy typ człowieka pisanego przez duże C.

— Czy brak krytyki szkoły i stosunków wiejskich jest w powieści celowy? Co odgrywało większą rolę przy tworzeniu książki: kompozycja czy idea?

— Przede wszystkim kompozycja. Książka była

zamierzeniem czysto artystycznym a nie ideowym. Nie zamierzałem dawać społecznego przekroju wsi, bo nie leżało to w moich możliwościach artystycznych. Może kiedyś taką rzecz napiszę.

— Czy uważa pan dzisiejsze ożywienie społeczne wsi za istotne, a próby organizacji młodych chłopów za zdrowe?

— Zawsze będę się odnosił z sympatią do ruchu wychodzącego z dołów. Według mnie znacznie większą wartość ma ruch tworzony przez samych chłopów, niż nakazany z góry. Mogę to stwierdzić bezstronnie, gdyż kłamałbym twierdząc, że sympatyzuję z którąkolwiek z organizacji wiejskich. Cenię je wszystkie jednakowo, jeśli tylko nie są przedstawicielami partyj politycznych...

— Co pan sądzi o ożywieniu ruchu wydawniczego w roku bieżącym.

— Jest to objaw dla mnie nadzwyczaj radosny. Jak pan wie, jestem poetą a nie powieściopisarzem. Nowe wydawnictwa debiutów poetyckich Hoesicka, jego „arkusze" i powstanie kilku nowych czasopism kulturalno-literackich: wszystko to pozwala mi przypuszczać, że młodzi znajdą nareszcie wydawców i czytelników...

Jeszcze kilka chwil spędzamy na miłej rozmowie... *Czesław Domaradzki.*

„MŁODOŚĆ JANA KUNEFAŁA"

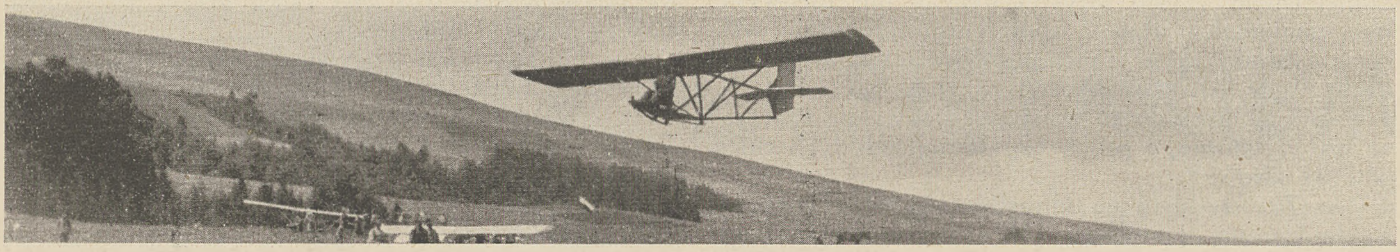
W naszym dorobku powieściowym lat ostatnich poważną pozycję zajmuje pewna zwarta jakościowo i problemowo grupa książek, poświęconych młodości i szkole. Od Makuszyńskiego „Bezgrzesznych lat", Kadena „Miasta mojej matki", Nowakowskiego „Przylądka Dobrej Nadziei" aż po Zagadłowicza „Żywot Mikołaja Srebrempisanego", Parandowskiego „Niebo w płomieniach" i Rusinka „Pluton z dzikiej łąki" droga daleka. Spotykamy na niej „Rubikon", niezbyt udaną trylogię Bieniacza o Józiu Bόrączu, Balickiego „Dziecko czerwone", nowele Morcinka i wiele wiele innych, mniej znanych pozycji. Prawie wszyscy autorzy, starający się przeanalizować duszę dorastającego chłopca (nikt nie napisał powieści o dorastającej dziewczynie, nie chcę tu wspominać „Dziewcząt z Nowolipek")), wszyscy ci piewcy „grzechów dzieciństwa" starają się zagadnienie stosunków wewnętrznych w szkole i w domu sprowadzić do jednej wspólnej płaszczyzny. Okres buntu i chęci walki, który przeżywa każdy człowiek, okres przemian psychicznych zachodzących przede wszystkim na gruncie odczuwania i przeżywania, wysuwa się na czoło problemów roztrząsanych przez wszystkich autorów. Wpływy szkoły czy rodziny, krytyka systemów wychowawczych, próby psychologicznego oświetlenia pobudek działań bohaterów, jednostek, czy grup — wszystko to zostało zepchnięte na plan dalszy. W całej beletrystyce „szkolnej", jeśli to określenie jest na tym miejscu odpowiednie, dominuje jedno prawo: prawo do działania, do życia, do burzenia młodymi ramionami przeszkód i zatorów.

Piętak w swej powieści porwał się na rzecz niezwykle trudną: postanowił zanalizować rodzinę chłopską z punktu widzenia syna — inteligenta, „kształconego w szkołach" chłopaka o przeczulonej psychice, silnie reagującego na najdrobniejsze nawet zadraśnięcia. Autor nie stara się wcale rozbudowywać książki nadmiernymi opisami życia szkolnego — omija je całkowicie — uważając, że istotną dla powieści autobiograficznej będzie raczej analiza przeżyć i odczuć, niż dalekie celów wnioskowanie z drobnostek szarego życia szkolnego. Chcąc być dokładnym w malowaniu tła ewolucji psychicznej swego „Jasia", nie cofa się przed zobrazowaniem jego dziejów rodzinnych w perspektywie trzech pokoleń wstecz, nie cofa się przed straszliwymi w swym społecznym wyrazie wspomnieniami głodu w dzieciństwie. Dawny złodziej wsiowy, bratanek oszusta, krewniak exkleryka, syn emigranta i ochotnika z wielkiej wojny — oto Jaś Kunefał, bohater na tle swej rodziny. Buntuje się zawsze, stale i przeciw wszystkiemu: przeciw szkole zamykającej go w ciasne ramy regulaminu (ten bunt jest bardzo lekko naszkicowany), przeciw rodzinie wiążącej mu ręce przesadną troskliwością. Jaś pragnie wyzbycia się tych wszystkich więzów, pragnie w o l n o ś c i. On, człowiek, który poza matką i ojcem nikogo nie kocha, przeciw nim właśnie burzy się najbardziej. Dlaczego? Jaś jest idealistą, pragnie szerokiego oddechu, chce iść w świat po wielkość, po sławę, nawet po nic, byleby tylko nie być w domu. Mimo tego dom i wieś kocha. Kocha głębokim przywiązaniem psa, zwierzęcia zaklętego w cztery ściany płotu wiejskiego podwórka, raduje swe oczy niedzielną siestą bab-plotkarek w niedzielne południe, łąką zieloną, na której pasał klacz-jedynaczkę, rzeką, lasem.

Najbardziej Jaś kocha ojca. Ten oschły, pozornie twardy, niespożyty chłop w oczach syna jest ideałem człowieka; dzieje się to dzięki temu, że Jaś zna wartość pracy, sam lubi pracę, nieraz z zapamiętaniem „tyra" w polu cały dzień, byle tylko nie myśleć, nie czuć, nie wiedzieć. Często w długich rozmowach z ojcem — dialogach o ekspresji dotąd w naszej literaturze niespotykanej, Jaś długo oponuje i przekonuje, po to tylko, by skłonić go do szerokiego, rzeczowego dowodzenia, któremu poddaje się z lubością.

Młodość mija jak jeden wielki, raz tylko przeżyty i głęboko w pamięci bohatera zanotowany epizod i Kunefał odjedzie ze wsi po sławę w świat. Odjedzie sam lub towarzyszyć mu będzie Joasia. Imię, które dziwnie kojarzy się z towarzyszką doktora Judyma. Tylko, że Jaś to nie rozspołeczniony intelektualista, lecz głęboki myśliciel; jednocześnie siła witalną, zdrowie, młodość. Szczęśliwej drogi Jasiu!

Cz. D.



ŚLIZGAMI NAD USTIANOWĄ

Trzy pytania:
— ogon? — pilot? — liny?
Trzy:
— Gotowe!

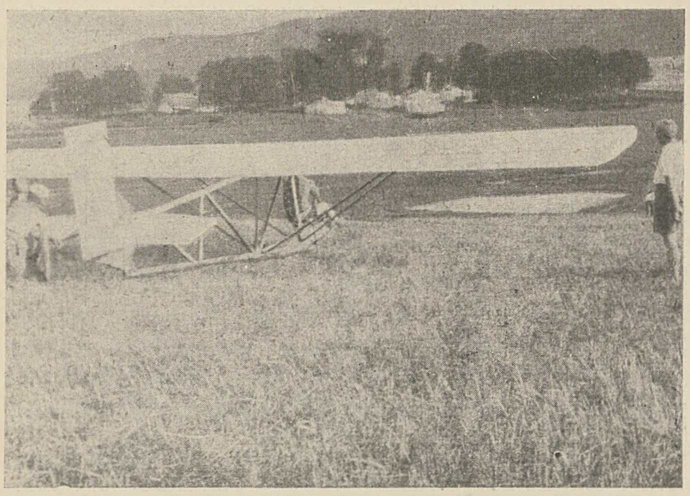
Instruktor patrzy jeszcze na białe kłębiaste „kumulusy" rzucające olbrzymie cienie na dolinę Ustianowej, na chorągiew startową furkoczącą na silnym wietrze, zerka na trzymany w ręku szybkościomierz wiatru i krzyczy:

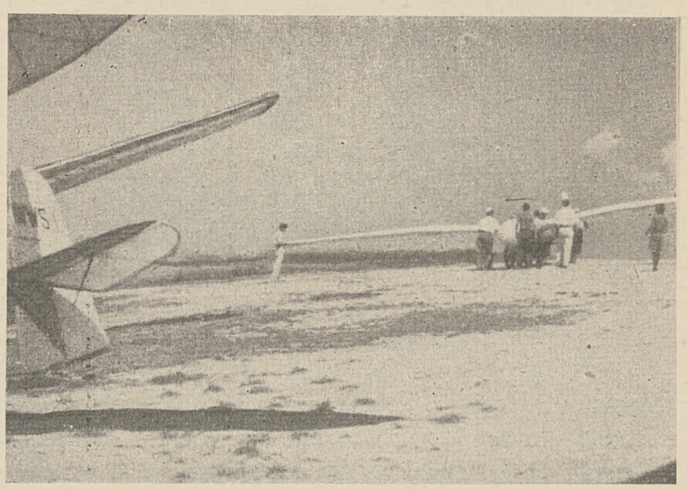
— Naciągać! Biegiem, biegiem! — Puść!

Półrasowy szybowiec typu „Salamandra", na którym startuję do lotu na „ślizgi", rusza ociężale po twardej ziemi, ciągnięty gumowymi linami. Jeszcze chwila... rozpęd... i zostaję wyrzucony niby z wielkiej procy w powietrze. Przemknęły mi przed oczami głowy naciągaczy lin, ...ziemia pozostaje w dole i w tyle. „Salamandrę" porywa do góry t. zw. prąd wymuszony. Przypomina to cokolwiek jazdę windą. Na horyzoncie leży przeciwlegle wzgórze zwane Karolikiem, równoległe do wzgórza startowego Żukowa. Prostopadle do doliny ze wzgórz schodzą głębokie przepastne jary, otoczone szeregami wysmukłych świerków. Wzdłuż doliny błyszczą stalowe nici toru kolejowego. Do toru przyczepione wielkie drewniane hangary i zabudowania wojskowego obozu szybowcowego, otoczonego wkoło wysokimi drzewami. Wzdłuż toru na przestrzeni kilku kilometrów ciągnie się wieś Ustianowa — z lewej strony lotnisko otoczone kilkunastu płóciennymi hangarami. Tam mam lądować.

Tymczasem „Salamandra" straciwszy prąd wynoszący płynie w stronę Karolika. Spojrzałem z przyzwyczajenia prostopadle w dół dla oceny wysokości. Tak na „oko" było jakieś 300 metrów. Oddaliwszy się jeszcze z kilometr od miejsca startu, zacząłem wykonywać zadanie czyli owe „ślizgi".

...Krzyżuję kierunkowy z lotkami. Aparat przez chwilę się waha, ale po krótkim namyśle zaczyna lekko ślizgać się na prawe skrzydło, obracając się jednocześnie w prawą stronę. Gdy skręt dochodzi już do 90 stopni, a jednocześnie brzęczenie linek i zastrzałów staje się coraz silniejsze, powoli zwalniam nacisk na stery — wraca do normalnego położenia. Teraz lekki wiraż w przeciwną stronę dla naprowadzenia maszyny na kierunek i ślizg na lewe skrzydło. Po wyprowadzeniu stwierdzam, że znajduję się nad wsią. Wysokość zmniejszyła się do 200 m. Korzystając z tego, że nad wsią jest „komin" (rozgrzane powietrze wstępujące do góry), kręcę płaskie rundki czyli pełnoobrotowe wiraże dla nabrania wysokości.





Teraz podchodzenie do lądowania „esami". „Es" to dwa wiraże z półobrotem, wykonane jeden po drugim w przeciwnych kierunkach. Służą one do stracania wysokości, mają przy tym tę zaletę, że aparat stale krąży w pobliżu miejsca, na którym ma lądować. Związawszy kilka takich „esów" — ląduję.

Lądowanie jest dość trudne, ponieważ lotnisko leży na stoku góry i ma nachylenie do poziomu około 35 stopni. Nazywa się to lądowaniem „pod stok" albo „pod zbocze". Aby dobrze wylądować na takim terenie, należy znacznie zwiększyć szybkość szybowca przez pochylenie go „nosem" do ziemi. To też moja „Salamandra" podchodząc do lotniska ma około 60 km./godz. szybkości. Zieleń lotniska zaczyna nagle uciekać w tył... powiew powietrza wyciska z oczu łzy... ziemia zbliża się coraz bardziej... wreszcie — powolne „wybranie" sterem szybkości i szybowiec przykleja się do ziemi.

Ze skraju lotniska podbiega kilku ludzi, aby załadować szybowiec na wózek. Z trudem wychodzę z kabinki, ponieważ przeszkadza mi przy tym spadochron, zaczepiający się gumkami o występy w kabince. Z daleka słyszę głos instruktora obserwującego lot.

Krzyczy przez tubę:

— Dobrze było! *Bohdan Zahrt.*



Andrzej Strug „MILIARDY". Powieść. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1937.

Tak trudno mówić o pisarzu, który odszedł; trudno też pisać o jego ostatnim, niedokończonym dziele. „Miliardy" przed i po śmierci autora były już wielokrotnie recenzowane, tak, że przypada nam raczej rola zebrania i omówienia głosów o ostatniej książce „niezłomnego pisarza". Nie wolno nam zapominać przy tym, że twórczość Struga jest twórczością wybitnie tendencyjną, ideową (nie ideologiczną) i tylko pod tym kątem wolno ją rozpatrywać. Ponieważ jednak Strug był reprezentantem żywej idei polityczno-ekonomicznej, trudnoby się było zdobyć na obiektywizm.

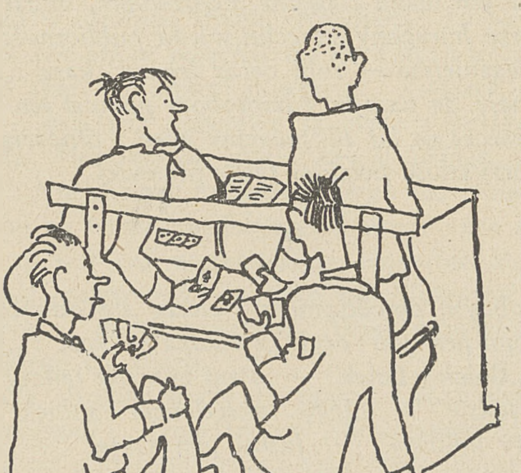
...„Miliardy", to obraz ginącego, rozkładającego się świata kapitalizmu amerykańskiego, obraz wybitnie realistyczny, nie przeszarżowany, raczej nawet bezwarwny, cośkolwiek papierowy; daje się w nim odczuć ten kinowo-powieściowy dystans Europejczyka-autora do spraw amerykańskich. Strug nie starał się tutaj o wykroczenie poza ramy szablonu oceniania U.S.A. i jego obywateli, chciał tylko konsekwentnie przeprowadzić dowód psychologiczny fikcji amerykańskiej demokracji. Pragnął w sposób zgoła namacalny pokazać, że los dziesiątek, setek tysięcy ludzi, ludzi nieszczęsnych, upokorzonych przez los jest niczym innym, jak tylko wypadkową przeżyć i przemian nielicznego grona miliarderów. Szczęścia nie ma w tej książce wcale — jest tylko jedno wielkie przekleństwo: PIENIĄDZ, łączące wszystkich tych, co nie wiedzą, co z nim robić i tych, co nie wiedzą, co robić bez niego. Strug w tej powieści daleki jest od tak modnej dzisiaj „kompleksowości", nie stara się też o subtelną psychoanalizę; szkicuje zwarte, jednolite typy, rozwija akcję rozdział po rozdziale, nie daje się ponosić autorskiej fantazji — na marginesie dopiero między wierszami, bez wyszukanych kontrastów, bez nowych dróg i nowych środków wypowiadania się artystycznego, nie snycerstwem, a zwykłą ciesielską robotą buduje gmach prawdy: Jest źle! Brak tu może podniosłych mów pro i contra, brak błyskawicznych oskarżeń i mistrzowskich odparowań: jest gryząca wielka prawda.

Drugi tom przyniósłby prawdopodobnie credo walki.

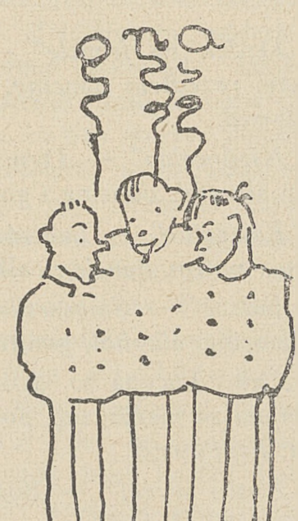
Cz. D.

KARCZ

In illo tempore...







Dwie książki

Jacques Bardoux — **Oskarżam Moskwę.**
Jacques Doriot — **Pieniądze płyną z Moskwy.**

Tłumaczył T. Teslar. Nakład „Biblioteki Polskiej".

Na tle poprzednich publikacyj obu autorów (Doriot „Francja nie będzie krajem niewolników", Bardoux „Sowiety przeciw Francji") i obu słynnych książek Andreé Gide'a („Powrót z ZSSR." i „Powrót z ZSSR." uzupełniony) szczególnie jaskrawo zarysowują się te dwie nowe książki, będące szczytowymi punktami kampanii antysowieckiej we Francji. Znamienną rzeczą jest, że np. nakład obu publikacyj p. Bardoux w chwili obecnej osiągnął we Francji liczbę pół miliona egzemplarzy.

Obaj autorzy, aktywni politycy dzisiejszej Francji, profesor Akademii Nauk Moralnych i Politycznych w Paryżu i poseł parlamentu, zwalczają zdecydowanie ingerencję Sowietów za pośrednictwem komunistycznej partii Francji, w jej wewnętrzną politykę państwową. Swą pozycję oskarżycieli publicznych umacniają wysuwaniem konkretnych zarzutów, zarzucając Sowietom, że przez subwencjonowanie propagandy komunistycznej i utrzymywanie na terenie Francji pewnej liczby stałych, płatnych agentów, usiłują całkowicie opanować życie polityczne i wywołać przewrót sowietkomunistyczny.

Jak wiadomo partia komunistyczna jest we Francji organizacją legalną i bodaj że najintensywniej rozwijającą swą propagandę. Na tle ostatniego strajku generalnego i wywołanego przezeń przesilenia rządowego, kwestia akcji komunistycznej nabiera aktualności i staje się naczelnym zagadnieniem polityki wewnętrznej i republiki francuskiej. Obaj autorzy bezkompromisowo rozprawiają się z sowietofilską rzeczywistością wskazując na nią, jako na główną przyczynę ostatnich zamieszek, w nie innym celu, jak tylko dla zrealizowania obcych Francji zamierzeń imperialistycznej polityki sowieckiej. Obie publikacje odsłaniają kulisy walk o prymat polityczny i stwarzają nową płaszczyznę ideową, której celem jest wykrystalizowanie programu uzdrowienia Republiki. Rzeczy te napisane przez Francuzów są bardziej wartościowe od stukilkudziesięciu artykułów wstępnych i korespondencji własnych polskich pism codziennych dlatego, że, charakterem swym — „komunikatów z placu boju o zdrowy system polityczny", wykluczają niedokładności, przeoczenia i wnioski wynikłe ze zrozumiałego dziennikarskiego dystansu. Publikacje te dzisiaj odgrywają rolę pryzmatu rozszczepiającego i wartościującego rzeczywistość francuską, jutro mogą stać się fundamentem prawdziwej Republiki.

Doriot, exkomunista i exposeł do parlamentu z ramienia komunistycznej partii Francji jest założycielem francuskiej partii ludowej. Organizacja ta ma być przeciwwagą dla frontu ludowego. W czasie swej kampanii antysowieckiej Doriot narzuca naczelnym organom partii komunistycznej, że są całkowicie uzależnione finansowo i organizacyjnie od Sowietów. Ponieważ 72 posłów-komunistów stanowi w parlamencie francuskim „języczek u wagi" faktycznie rządy na terenie Francji sprawował Komintern t. zn. ZSSR. W swej publikacji Doriot analizuje poszczególne

gadu-gadu

WIELKA TRADYCJA DO MAŁYCH INTERESÓW

I.

„Dodek na froncie" — Dymsza przebrany za kobietę, przedtem dancing, alkohol, potem gonitwa, happy-end.

„Niedorajda" — Dymsza przebrany za kobietę, potem alkohol, dancing i gonitwa — happy-end.

„Książątko" — Lubieńska przebrana za mężczyznę, potem dancing, alkohol, potem happy-end.

„Jadzia" — Smosarska przebrana za lalkę, potem dancing, alkohol, gonitwa, happy-end.

„Czy Lucyna to dziewczyna?" — Smosarska przebrana za mężczyznę, potem dancing, alkohol, gonitwa, happy-end.

„Piętro wyżej" — Bodo przebrany za kobietę, dancing, alkohol etc.

Przedwojenny motyw „Ciotki Karola" jest wciąż jeszcze umiejętnie eksploatowany przez kilku naszych scenarzystów. Niewątpliwy postęp wyraża się w tym, że motyw ten ulega ciągłym ulepszeniom, budzi coraz większe huragany śmiechu wśród publiczności — i, co najważniejsza — robi coraz lepszą „kasę". Mamy nadzieję, że naszym filmorobom pomysł ten wystarczy jeszcze na lat 10, możemy więc z ufnością patrzeć w przyszłość polskiej farsy filmowej.

II.

Podobnym powodzeniem cieszy się odwieczny motyw „qui pro quo" czyli „z chłopa — król": „Wacuś" — „Bolek i Lolek" — „Pani minister tańczy" — „Dwie Joasie" — „Jego ekscelencja subiekt" — „Manewry miłosne" — „Jaśnie pan szofer" — „Antek policmajster" — „30 karatów szczęścia" — „Dwa dni w raju" etc. etc.

działy akcji komunistycznej we Francji: prasę, propagandę, akcję wśród cudzoziemców i wydawnictwa, dowodząc szczegółowo, faktami, iż na wszystkich dziedzinach życia partii spoczywa dłoń sowiecka. Jest to rzecz bardzo ważna wobec roli, jaką ta partia odgrywa we Francji.

Głosu p. Doriota **nie można traktować jako odosobnionego wołania**, gdyż sekunduje mu człowiek stojący na całkiem innej płaszczyźnie politycznej p. Jacques Bardoux, republikanin, widzący w akcji komunistycznej na terenie swego kraju grób prawdziwych swobód obywatelskich. Twierdzi on, że działalność tej obcej agentury stanowi zło narodowe i co najważniejsze, wkraczanie komunistów w takie dziedziny życia państwowego, jak administracja czy sądownictwo stało się chorobą nagminną. Nie wysuwa on konkretnych projektów ustaw czy rozporządzeń hamujących rozwój ruchu sowietkomunistycznego, stwierdza tylko, że zło istnieje i że należy je wytępić. Widzi szerzącą się anarchię, przerost ustawodawstwa socjalnego, teror związków zawodowych, oskarża Moskwę o aranżowanie strejków generalnych, przygotowanie zamachu zbrojnego i stwarzanie międzynarodowej sytuacji politycznej, której wynikiem musi być wojna niemiecko-francuska. Zarzuca rządowi Frontu Ludowego, że starał się wytworzyć taki stosunek, który pozwoliłby na dokonanie zamachu zbrojnego „celem ugruntowania dyktatury proletariatu". Kończy mocnym akcentem: „Francja nie ugnie swych kolan..."

Cz. D.

„TRYBUNA MŁODYCH". Pismo wychodzące w jęz. angielskim, niemieckim i francuskim. Nr. 12 (81) z grudnia 1937. Str. 8. „QUO VADIS CZECHOSŁOWACJA?".

Gdy w całym cywilizowanym świecie barbarzyństwa, dokonywane — zwłaszcza ostatnio — w Sowietach budzą dreszcz grozy i oburzenia — w Czechosłowacji popierany przez rząd, „Związek przyjaciół Z.S.R.R." uroczyście święci XX-lecie istnienia Związku Sowieckiego... Władzom sowieckim przekazuje się specjalny „dziękczynny dar od narodu czeskosłowackiego" wraz z księgą pamiątkową z 2 milionami podpisów. Jednocześnie w całym kraju odbywają się masowe obchody, na których reklamuje się wielkie osiągnięcia rządów bolszewickich... Nie wiemy tylko, czy ostatnie masowe rzezie ze „zlikwidowaniem" Tuhaczewskiego na czele, też w poczet „osiągnięć" zostały zaliczone?...

Do tych oryginalnych objawów „uprzejmości" czeskiej dodajmy następne ciekawe fakty. Patria komunistyczna, która działa w Czechosłowacji l e g a l n i e, wzmaga ostatnio swą aktywność i jest czwartym pod względem siły stronnictwem czeskim. Jednocześnie Praga staje się podstawową centralą wypadową akcji Kominternu w sąsiednich państwach...

A teraz zapytamy: Quo vadis Czechosłowacja? Wszak 2 miliony ludzi podpisanych w „adresie hołdowniczym" — to blisko 1/4 dorosłej ludności całego państwa!... Czechosłowacja od chwili zawarcia paktu „wzajemnej pomocy" z Z.S.R.R. staje się w coraz większym stopniu oazą wpływów bolszewickich w Europie środkowo-wschodniej. Stare „tradycyjne" rusofilstwo przemieniło się w „nowocześniejsze" sowietofilstwo. Tylko do czego to musi doprowadzić?...

I cóż na to nacjonalizm czeski? Nie ten stary, szowinistyczny, wyżywający się np. w ucisku ludności polskiej na Śląsku zaolzańskim, — lecz ten młody, prężny i — wierzymy — znacznie bardziej nowoczesny i szczery. Czy stopniowe czynienie z kraju kolonii wpływów Moskwy może być dla młodych nacjonalistów obojętne?...

III.

Bywają jednak i inne motywy. O nich właśnie chcemy napisać.

Oto np. komedyjka z pod znaku pałasza i konika (z browaru Haberbuscha) — „Ułan księcia Józefa" ze Smosarską, Brodniewiczem i innymi, osnuta na motywie szpiegów i strzelaniny. Komedyjka efektowna, w dobrej oprawie dekoracyjnej i kostiumowej, ale niezbyt... humorystyczna. Trudno przecież przez dwie godziny śmiać się do rozpuku z przydługich monologów Orwida i zachwycać się „rozkoszną" postacią ordynansa pijącego zapanbrat z oficerami, w interpretacji Sielańskiego, niczym nie różniącej się od jego dotychczasowych kreacji. Aha! jeszcze o akcji: zaplątany po mistrzowsku w komedyjkę motyw sądu polowego i odwołania wyroku śmierci na oficera w ostatniej chwili (Kordian)! To było dlatego, że ten oficer pojechał do tej karczmareczki, a ją przed tym ten szpicel postrzelił... Związek logiczny jest — przejścia zdjęciowe są, więc wszystko w porządku. Mundury są, artyści są—a „jednak czegoś tu brak". Nie chcemy tu powtarzać po raz tysięczny zarzutów na temat, że dekoracja, plenair, gra świateł... Nie, to jest coś ważniejszego: papierowość, operetkowość, gazetowość — tylko nie filmowość tej komedyjki. I niehistoryczność. Mimo nazwiska Gąsiorowskiego na afiszu.

Na drugim afiszu to samo... „Kościuszko pod Racławicami"... Gigantyczny film historyczny... Zlepiony ze szczątków przedwojennego widowiska teatralnego Anczyca, wystawianego ongiś na krakowskiej scenie jeszcze za c. k. austriackich czasów. Ten film jest „krzepiącym serca eposem", „arcydziełem polskiej filmii", ba, nawet arcydziełem ze „złotej serii"... ale tyle ma miejsc słabych, że aż wstyd o nich pisać. Nie jest ważne, że szereg ubranych jak na wesele Krakowiaków leci z kosami na armaty, nie jest ważne, że Bartoszowi w momencie największego entuzjazmu omal nie odpadną przyklejone wąsy, że sam Kościuszko trzyma się jakoś zbyt na boku przez cały czas akcji. Ważne jest to, że realizatorom nawet nie powstało w głowie, iż insurekcja kościuszkowska mogła mieć inny sens, niż jej nadał Anczyc, że na rok 1794 można spojrzeć inaczej, niż pod kątem przysięgi na rynku krakowskim i romansu dwóch oficerów. Nie przyśniło im się nawet, że „Żywią i bronią" na chłopskim sztandarze jest stokroć ważniejsze niż owe oficerskie umizgi. Astmatyczny oddech poszczególnych scen tego omal całkowicie zamkniętego w czterech ścianach atelier filmu dziwnie jakoś nie zgadza się nawet z tym, co pan Anczyc gwoli pokrzepienia serc napisał. Przeciętny widz zadaje sobie pytanie: dlaczego „Bounty" czy „Bengali" czyni z nas entuzjastów Anglii, poprostu nawet angielskich... patriotów, — a cztery filmy w rodzaju „Kościuszki" odstraszają na wieki wieków od kina. Panowie producenci! Stop! Czas już zrozumieć, że wielkie tematy wymagają przede wszystkim w i e l k i e g o a r t y z m u. Tylko takie filmy zasługują na miano naprawdę n a r o d o w y c h, bo obok wielkiej przeszłości narodu wykazują jego wielką kulturę współczesną. Jak je robić — wasza w tym głowa.

M. J.

Wycinanki

Szopka strażowa

W dniu któregoś tam stycznia czy lutego męski Zespół Akademicki w ramach „opłatka" urządzanego w lokalu centralnym organizacji w stolicy wystawił własnym sumptem szopkę strażową pióra Czesława Domaradzkiego z dekoracjami i sylwetkami nadwornego malarza J. Karcza i udziałem członków zespołu. Melodie kradzione. Poniżej drukujemy wyjątki.

Ob. wyd. „Skośnych Oczu" W. Bolesławski mówi:

...Piszę dwie prace o staliniźmie i o faszyzmie poważną rzecz,
Wielu tłumaczów chce mi tłumaczyć... że to napróżno, lecz
Przecież studio swe wydrukuję, jeśli drukarnia kredyt da —
Ideologia nie szwankuje — wszak front młodzieży tworzę ja:
Frontem do P.W.! frontem do morza! frontem do LOPP-u! Hopaj-siup!
Niechej RWD lata w przestworzach! Niech sobie pływa Polski Yacht-Club!
Czołem i czuwaj! Baczność! Cześć Pracy! Odchodzę — zaraz prelekcję mam:
„Motoryzacja Hufców Junackich".
Eviva Duce! Zdrastwujtie! Heil!

Obywatelescu Staniczenko mówi:

...Założyłem szkołę pilotażu i tartak,
Ogród w stanicy, Warenhaus w Lidzie.
Tartak chłopi rozkradli do czarta...
...i Warenhaus mi jakoś nie idzie.
Ale ogród w Stanicy istny cud:
Pietruszka, marchewka, buraki — no i miód.
Teraz na kursie robiłem zdjęcia
Jesiennych plonów i wyślę je do Bukaresztu:
Cztery buraki w siedmiu ujęciach koledze Galuszce prześlę!



1. 2. 3. 4. 5.

Naczelniczka P.O.S.-eltówna śpiewa:

...Mam gimnazjum na Ochocie,
Jakie gimnazjum — mówię wam!
Tam pracuję w czoła pocie:
Pedagogikę tworzą tam...

Nowe teorie, nowe prądy,
Nowych zagadnień cały stos,
I oryginalne mam poglądy
I zlekka ironiczny głos:

Nie mogę znieść koedukacji,
To jest bolączka duszy mej,
Więc tworzę plany nowej akcji,
W której MY będziem wiodły rej...

Szkicuję teraz nowy program
Letnich obozów, pod hasłem WIEŚ
Wprowadzam w szkole PDOK
I żegnam was strażowym CZEŚĆ!

Naczelnik G.W.W.-Itkowski śpiewa na mel.: „Ach, Ludwiko"...

Drodzy moi, co dzień rano spóźniam się na pociąg elektryczny numer trzy.
Tramwaj staje koło Szustra — z szyby sobie robię lustro:
W nim się cieszę, w nim się nawet mogę myć...
Potem staje pod pomnikiem i na placu Zbawiciela staje też:
Ja już czytam Weiningera czy Förstera czy Adlera „Człekozwierz"...

Tu logika, tam logika, mój profesor też miał bzika... —
I mój uczeń chyba bzika będzie miał.
Tu artykuł, tam artykuł: ...asocjacja do truizmów afirmuje per troix,
Konglomerat wielojaźni...
Proszę tylko się nie błaźnić, proszę was.

Kier- OTTO-wnik Administracji mówi:

Czy państwo wiedzą, co to jest wysyłka?
To jest bałagan łamany przez gwałt,
Administracja to jest rejestracja
Zwrotu numerów, co poszły na out.
Adres na pozór taka prosta sztuka:
Imię, nazwisko wypisać na wspak,
Miasto, ulicę, by poczmistrz nie szukał
I najważniejsza rzecz: SZLAK.

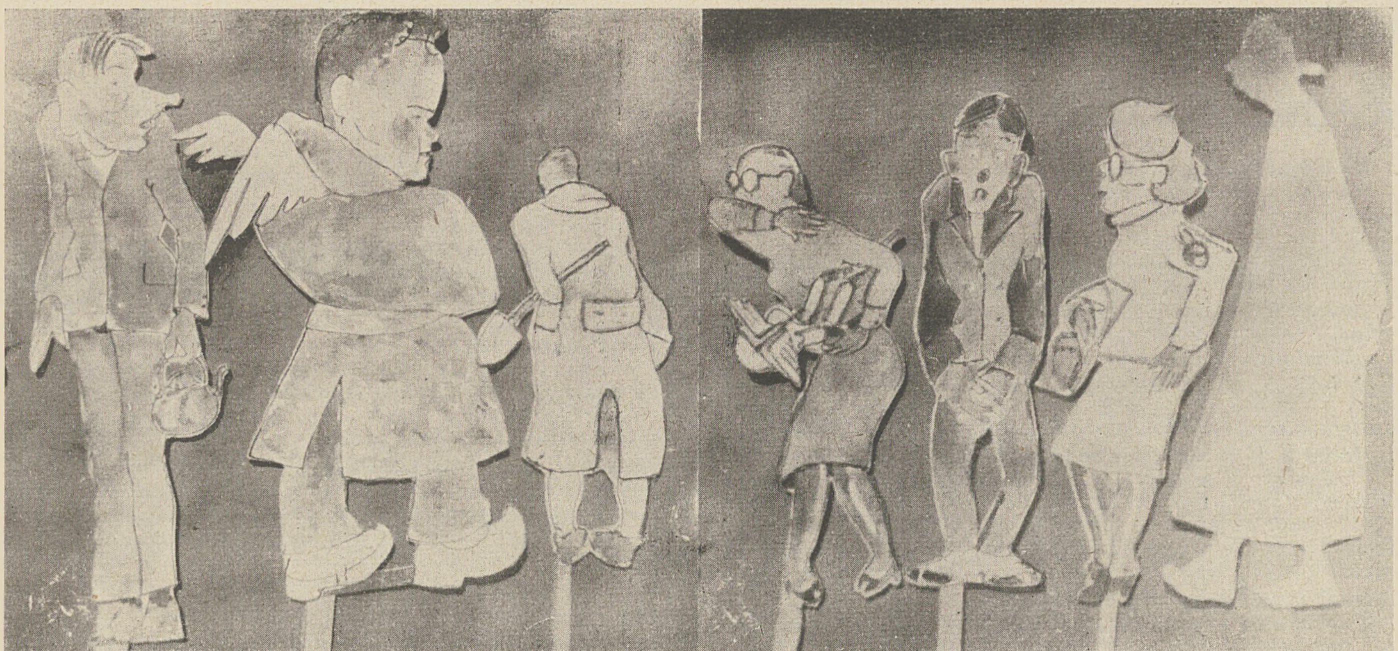
śpiewa na mel. której nie ma:

Szlak jest pierwszy albo drugi,
Szlakiem jadą extrazugi
Szlak jest czwarty, piąty, szósty:
Lublin, Lwów, Iwanie Puste;
Gdynia, Tarnów i Białystok..
W których szlak te głupstwa cisnąć:

Przez Zielonkę czy przez Włochy?
Może przez Wołomin, cooo?
Tutaj zespół, tam samorząd,
Dwutygodnik „Służba Boża"
I dyrekcja Instytutu H_2O...

Sodoma-Gomaradzki, sekretarz „Skośnych Oczu" śpiewa na mel.

Raduje się serce, raduje się dusza,
Kiedy grafomaństwa do kosza wyrzucam
Oj, da, oj, da, dana — publiko kochana
Niemasz to jak w „Oczach" nie...
Moje wyrzucali, więc i ja wyrzucam,
Raduje się serce, raduje się dusza...
Chociaż czas do domu, marsza grają kichy,
Spacer zaoszczędza okrągłe dwie dychy
Żem jest nie wytworny, prowincji darujcie,
Ale „Skośne Oczy" zaprenumerujcie...



6. 7. 8. 9. 10. 11. 12.

OSOBY:

1. Ob. V-Prezes,
2. Autor kukiełek, Karcz
3. Ob. sekr. Sodoma-Gomaradzki
4. Obywatelka Zosia
5. Ob. wyd. W. Bolesławski
6. Tamborek
7. Ob. Nacz. G. W. W.-itkowski
8. Obywatelescu Staniczenko
9. Ob. bibliotekarka
10. Ob. Kierownik Zespołu
11. Ob. Kierowniczka Zespołu.
12. Ob. Nacz. Bezstrońska.

Książki

J. Dąbrowski, T. Kwiatkowski — „JEDEN TRUDNY ROK", opowieść o pracy harcerskiej. Nakł. Roju, W-wa, 1938.

Ustawiczne powtarzane twierdzenia o bezideowości współczesnej młodzieży, o bezkrytycznym jej jej podążaniu za rosnącymi jak grzyby po deszczu „führerami" nie są słuszne. Tak samo nie jest zgodne z prawdą coraz bardziej zyskujące prawo obywatelstwa twierdzenie o zaniku głębszych zainteresowań intelektualnych i społecznych wśród młodzieży.

Bo młodzież to nie tylko zrzeszenie w kołach, związkach, drużynach, lojalnie płacących składki, lojalnie wypełniających szablony stopni i prób, ale także i ci, którzy szukają — usiłując znaleźć odpowiedź na pytanie, które narzuca bunt duszy młodzieńczej przeciw rzeczywistości tak sprzecznej z idealizmem młodzieży. Dyskusja, „praca samokształceniowa — praca realizacyjna, jak się takie coś nazywa np. w Straży Przedniej", — mówi jeden z bohaterów książki, od niedawna dopiero zyskały sobie prawo obywatelstwa w drużynach harcerskich. Fakt ten jest stwierdzeniem słuszności idei wychowawczej Straży Przedniej polegającej na „otwieraniu oczu" przez stykanie młodzieży z rzeczywistością i przez to dopomaganie jej do kształtowania własnego poglądu na świat. Książka omawiana jest opowieścią o pracy grupy starszych, którą stworzono z funkcyjnych oraz starszych chłopców z klas licealnych w Pawłowie, a która później przekształciła się na samodzielną drużynę harcerską. Takie pomysły jak „dzień pracy", jak wystawa poświęcona człowiekowi pracy w Polsce z działem „położenia młodocianych", jak ćwiczenie „nocna praca człowieka w Pawłowie", jak rozważania na temat harcerskiej partii uczciwych robotników, są przykładami tego, co może zrobić zespół młodzieży wartościowej i myślącej.

Miło nam strażowcom dowiedzieć się o tym, iż istnieją takie drużyny harcerskie, jak ta z Piotrkowa, bo o Piotrków tu chodzi. A poza tym książka zasługuje na to, aby przeczytał ją każdy kierownik zespołu, tak wiele zawiera szczęśliwych pomysłów i tak wiele z tego, co możnaby nazwać duchem grupy, a co powinno cechować każdy zespół.

...„Przywołał na pamięć krakanie Adama, że młodzież niczego nie chce i tylko czeka na führera...".

„Młodzież wysuwa swych przywódców sama i sama stwarza przed sobą zadania. Tylko nie umie tego nazwać po imieniu, nie umie zawczasu przewidzieć, czasem potrzebuje podpowiadania, często potrzebuje pomocy w wykonaniu. Ale to gruby błąd, co Adam myśli. Młodzież i może tylko ona jedyna z samej swej istoty — jest demokratyczna, sama sobie stanowiąca swój rząd". Cytacja ta pozwoli czytelnikowi zorientować się przynajmniej w części w duchu książki.

Nasuwa się tylko na koniec pytanie: Dlaczego nie została ona wydana przez naczelnictwo Z. H. P. a przez Rój?

M. W.

Kronika strażowa

1. Korespondencyjne zawody strzeleckie.

Naczelnictwo Organizacji zarządziło w miesiącu marcu korespondencyjne zespołowe zawody strzeleckie o mistrzostwo Straży Przedniej. Okręg, którego zespół uzyska największą liczbę punktów, zyskuje tytuł Okręgu mistrzowskiego. W zawodach obowiązane są wziąć udział wszystkie zespoły.

2. Zawody strzeleckie o indywidualne mistrzostwo Straży Przedniej.

W miesiącu marcu odbędą się w Warszawie zawody o tytuł mistrza S. P. w strzelaniu z broni małokalibrowej. Okręgi wyślą na te zawody po dwu najlepszych strzelców wyeliminowanych w korespondencyjnych zawodach ogólnych.

3. Udział S. P. w uczczeniu rocznic 19.III., 12.IV. i 2.IV.

Naczelnik Organizacji zarządził, aby wszystkie zespoły Straży Przedniej wzięły czynny udział w uczczeniu rocznic 19.III. i 12.IV., jako związanych nierozdzielnie z pamięcią Wielkiego Marszałka oraz daty 2 kwietnia jako rocznicy śmierci Pierwszego Prezesa i Założyciela Organizacji ś. p. Adama Skwarczyńskiego.

4. Straż Przednia a apele kolonialne.

Dorocznym zwyczajem S. P. wzięła czynny udział w apelach kolonialnych dając tym wyraz zrozumienia ze strony Organizacji wagi zagadnienia. Szczególną uwagę zwrócono na szerzenie zrozumienia potrzeby kolonii i konieczności dozbrojenia Polski na morzu.

5. Zjazdy przedobozowe.

Naczelnik Organizacji zarządził zorganizowania zjazdów przedobozowych instruktorów i kierowników zespołów w tych wszystkich Okręgach, w których zjazdy te nie odbyły się dotychczas.

6. Akcja obozów letnich.

W roku bież. akcja obozowa zakrojona na szeroką skalę zostanie skoncentrowana na kresach, w celu zwiększenia efektów pracy realizacyjnej oraz celem wzmocnienia propagandy polskości na terenach kresowych.

7. Goście w Stanicy w Hołówkowie.

Wzorem lat ubiegłych P. U. W. F. i P. W. organizuje w stanicy strażowej centralne kursy narciarstwa nizinnego. Obecnie trwa drugi turnus 70-osobowy pod kierunkiem trenera fińskiego. Pierwszy turnus liczył 40 osób. Fachowcy twierdzą, że tereny stanicy są doskonałe nie tylko dla narciarstwa nizinnego.

* * *

Z powodu niedopatrzenia w redakcji brakło kroniki działu żeńskiego.

Odpowiedzi Redakcji

Kol. A. M., (Stryj).

Wierszy nie drukujemy z powodu zbyt banalnych tematów i braku wyrazu. Lepiej pisać prozą — przypuszczamy, że koledze bardziej się powiedzie i że kolega znajdzie łatwiej własny, oryginalny wyraz.

Kol. Henryk Nowak. (Koprzywnica).

Nowela pójdzie w następnym numerze. Prosimy o dalsze prace.

Kol. Zygmunt M. (Radom).

„Zgrzebna ojczyzna" w tece. Reszta niestety — w koszu. Kolega pozostaje pod silnymi wpływami t. zw. poezji awangardowej, która swój okres szczytowy przeżyła już dawno. Należy pisać tak właśnie, jak „Zgrzebną ojczyznę" — prosto, zrozumiale, a przede wszystkim własnym językiem, „Naśladownictwo wzbronione".

Kol. H. G.

Karykatury w tece.

Kol. B. A. Ż. (Lwów).

Słabe. Tak można pisać tylko wypracowania szkolne na tematy społeczne. „Brak własnych myśli". Nam nie zależy specjalnie na sileniu się na oryginalność, ale powtarzanie po raz setny, że praca..., że my, młodzi... może się znudzić najcierpliwszemu czytelnikowi. Wasz artykuł wygląda na streszczenie „Ody do młodości".

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: BOLESŁAW WASYLEWSKI

REDAGUJE KOMITET SEKRETARZ REDAKCJI: CZESŁAW DOMARADZKI

Zakł. Graf.-Introl. J. DZIEWULSKI, Warszawa, Senatorska 10.

PRÓBKI KULTURY KRESOWEJ

Hallo, inteligencie miastowy! Człowieku bez perspektyw! Kolego z zapadłej prowincji, wykuwający w bezsenne noce geometrię! Wielbicielko Marczyńskiego, uczęszczająca tylko na filmy z Gary Cooper'em! Druhu drużynowy! Obywatelko kierowniczko zespołu! Każdy czytelniku!

Nie myśl, że jest to wstęp do jeszcze jednego manifestu i jeszcze jedna prośba stworzenia nowej partii. Poprostu chciałem zaapelować do Ciebie, jako do człowieka myślącego. Pragnę wskazać Ci, za kol. Trawkowskim z 2 — 3-go numeru, na terenie Rzeczypospolitej wielki pas ziemi wschodniej zapomniany przez t. zw. kulturę. Przyjrzyj mu się z bliska, choćby przez wiersze tego oto artykułu a napewno — spojrzawszy na otaczającą Cię rzeczywistość — zrozumiesz choć trochę, poco żyjesz, zapragniesz szerszego oddechu... może kiedy wybierzesz się na Kresy.

Po zetknięciu się z prawdą tamtejszego życia, napewno przestaniesz czytać Marczyńskiego i uwielbiać Gary Cooper'a. Może geometria nabierze dla ciebie sensu życiowego, gdy ogarniesz wzrokiem niezmierzone przestrzenie wód poleskich. Przemówi do ciebie pełna wiecznego cierpienia i bólu pieśń kresowa — po powrocie napewno przestaniesz nastawiać na patefonie 12 razy z rzędu przebój: „Gdy się osiemnaście ma lat". Spróbuj! Jeśli przyznasz mi rację i stwierdzisz, że zrozumiałeś sens takich słów, jak „walka" i „praca", dobrze! Jeśli nie zgodzisz się ze mną, tym gorzej dla Ciebie. Jeśli powiesz, żeś się wynudził na zabitej dziesięcioma deskami wsi, żeś widział tylko komunistów i złodziei — będzie to oznaczać, że albo nie dorosłeś jeszcze do myślenia, żeś za mały, by wielkość prostych a ważnych spraw choć częściowo odczuć i zrozumieć.

—O—

...W cichy, pachnący zżętym żytem i rozśpiewany świerszczami jasny wieczór sierpniowy zebrała się rodzina państwa Marcholt-Mikuleckich na ganku i oczekiwała z pobłażliwym uśmiechem i lekką nudą (co rok to samo) na przybycie orszaku robotników i robotnic z muzyką, ekonomem i wieńcem żyta na czele, orszaku dożynkowego.

Pani dziedziczka Marcholt-Mikulecka, osoba 60-letnia, ubrana w czarną suknię z wąską opaską takegoż koloru na szyi, z gładko przyczesanymi włosami — siedzi poważnie, w skupieniu i nie ukrywa wzruszenia.

Reszta towarzystwa — starsze panie i panowie, jakaś 17-letnia pensjonarka z Warszawy, o smutnych, niezbyt przytomnych oczach, no i ja — zachowuje się cicho, szanując to, co w tej chwili przeżywa pani dziedziczka. Jakto? Przecież kiedy mąż nieboszczyk żył... Zawsze razem witali orszak i nie tylu było robotników i nie tyle, co teraz zboża zwozili. Czasy, czasy. — I mąż żył...

Ooooaaach — ziewa dyskretnie jedna z pań.

— Kiedyż oni przyjdą? Bridż czeka przecież!

— Zaraz, zaraz pani Wando, moja kochanieńka. Przecież przekąsić coś trzeba. Dopiero z pola zeszli...

— Eee, bo pani to też, jakby jaka komunistka. Jeszcze zdążą się napchać i napić. Całą noc będą żarli, pili i krzyczeli.

Z dali, z za drzemiących cicho czarnych, gęstych drzew, od strony baraków, nieśmiały początkowo, głośniejszy z każdą chwilą — śpiew kobiet. Słów nie można rozróżnić, za daleko.

Skrzeczące, ale swoiście dźwięczne stare głosy ciągną bezgranicznie żałosną, pełną łez i skarg, a miejscami szarpiącej rozpaczy, pół-cerkiewną żniwiarską pieśń białoruską — „Lieto". Ciągną i zrywają co chwilę, jakgdyby im łkanie nagle przyrywało. Znów jeden głos zaczyna, wysoko, żałośnie, a inne jemu podobne podchwytują i przeciągle, długo zawodzą... Milkną nagle. Resztki pieśni snują się po rżyskach dalekich, giną w bagnach i „wziorankach".

Znów...

„Lieeetooo... byłooo... lieeetooo..."

Słychać w tym śpiewaniu biadanie starych bab, którym praca zostawiła już tylko zwiotczałą skórę na twarzy i gorejące dziwnym, złym blaskiem oczy. Słychać młode, dziewczęce głosy, pełne jakiejś dalekiej przeogromnej tęsknoty. Widać w mroku sfalowany łagodnie, szeroki i smutny krajobraz, bagnisty, bronzowy las z jednej strony i bezbrzeżne, porosłe małymi krzako-drzewami mchy z drugiej. Pieśń, która święci się teraz, jest czymś organicznie związana z tym krajem, jakby ją owe smutne bezbrzeża bezpośrednio wydawały.

— Ależ wyją! zauważa znudzonym głosem jedna z pań.

— Cóż mileńka moja, śpiewają, jak umieją. Pewno, że u Warszawie ładniej... Ale cóż chłopi — ciemnota — klaruje spokojnym, cichym głosem pani dziedziczka, uchodząca w opinii okolicznych żubrów za zajadłą demokratkę.

Orszak już blisko. Zbite w ciasną gromadę starsze i młodsze kobiety, trzymają się pod ręce, zawodzą i idą wolno, wolniuteńko... Jest w tym coś z „Dziadów", wrażenie, dreszcz zgoła teatralny. Z tyłu czerwienieją ogniki machorki, z mroku wysuwają się „toporne", groźne, milczące postacie parobków, mocno nieprzychylnym wzrokiem obrzucających ganek.

Całość — pogrzeb lub procesja, ale nie radosny pochód dożynkowy.

Stają przed gankiem — śpiew urywa się w połowie słowa. Cisza...

Ciemniej... Ekonom wypycha naprzód dziewczynę z wiankiem, która nieśmiało podchodzi do stojącej na czele towarzystwa dziewczynki, wręcza jej skręcony niezdarnie z żyta symbol żniw, całuje dziedziczkę w rękę i zaczyna:

— Proszy pani dziedziczki, zboże już zżęnione,
jeszcze ni zwiezione,
alia już w kopy postawnione...

...urywa...

— Jeszcze ni postawnione, alie już... już...
zwiezione...

Nie myl się durna! —mruczy ekonom. Dziewczyna ucieka i chowa się wśród wieśniaczek. Na ganku wesołość.

— Ot, i wiersz powiedziała.

— Co pan chce? Małe to i ciemne...

„Idiom" — rzuca ktoś głośno. Powoli odchodzą w ciszę. Na końcu chłop z harmoszką, zaczyna jakąś smętną melodię, przeciągając po białorusku końcowe takty...

— to w interpretacji Wańki Tolstego „Pierwsza Brygada". Wańka gra dla pani dziedziczki... Pozostali uczestnicy smętnego obchodu nie zważając na Wańkę, zaczynają znów swe zawodzące, przeraźliwe „Lieeeto... byłooo...".

Andrzej Wielohorski

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

STRAŻ PRZEDNIA



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ **3.00**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ **1.50**

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM Nr. 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH"

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8

Zakł. Graf.-Introl. J. DZIEWULSKI, Warszawa, Senatorska 10.